

MARGINESY



Znakomite dzieło  
historycznej  
wyobraźni.

PETER CAREY



# UROKI

*Opowieść o pięknej miłości  
naszkicowana na tle wspaniałej  
rosyjskiej historii.*

KATHRYN  
HARRISON

Tego dnia, kiedy wyciągnięto ciało ojca spod lodu, pierwszego dnia nowego roku 1917, moja siostra Waria i ja trafiłyśmy pod opiekę cara Mikołaja II Romanowa i przewieziono nas, pod strażą carskiej policji, z mieszkania przy Gorochowej 64 do Pałacu Aleksandrowskiego w Carskim Siole, prywatnym majątku cara pod miastem. Miałam osiemnaście lat i nie potrzebowałam nowych rodziców, nawet gdyby mieli nimi zostać car i caryca. Ale każdy tydzień przynosił nowe strajki i zamieszki na ulicach Petersburga. Rewolucja, anarchia, stan wyjątkowy – nie wiedziałyśmy, czego konkretnie należy się obawiać, ale wiedziałyśmy na pewno, że wszystko toczy się, pędzi coraz szybciej ku temu czemuś, cokolwiek to miało być. Do tego, jak oznajmili carscy oficerowie, którzy waląc korbami w drzwi, wyciągnęli mnie i Warię jeszcze przed świtem z łóżek. Każdy, kto nosi okryte niesławą nazwisko Rasputin, byłby szaleńcem, gdyby próbował wyjechać z Petersburga bez pomocy i ochrony. Dopóki Romanowowie pozostawali przy władzy, tylko oni mogli nam zapewnić możliwość opuszczenia Rosji, nim zrobi się za późno.

Ale najpierw: mój ojciec. Bez Grigorija Jefimowicza Rasputina koniec dynastii Romanowów nie różniłby się niczym od końca Habsburgów, Osmanów czy którejkolwiek z wielkich dynastii upadających na początku dwudziestego stulecia.

Wieści rozniosły się szybko, szybciej, niż gdyby wyciągnięto z rzeki ciało kogoś innego. Kiedy już podpisałam dokument stwierdzający, że zmarły istotnie był moim ojcem, zaginionym wtedy od trzech dni, policja miała zabrać Warię i mnie z powrotem na Gorochową, żebyśmy spakowały ubrania i rzeczy, które chciałyśmy zatrzymać. Ale zanim udało nam się wsiąść do sań, otoczył je gęsty tłum. Chmara ludzi przybiegła do miejsca, gdzie przed chwilą stałyśmy, na zamarzniętej rzece. Przyszli z domów, niosąc miski,

dzbanki i czajniki – wszystko, w co można było nabrać wody. Niektórzy w biegu wylewali do rynsztoka wino, nawet wódkę, nawet perfumy, żeby napełnić opróżnione butelki wodą z Newy. W pewnym momencie zobaczyłam samowar tak wielki, że musiało go nieść trzech mężczyzn, a zaraz potem jakąś starą kobietę trzymającą w objęciach nocnik. To dopiero rozśmieszyłoby ojca, aż by się zanośli, ryczał i zataczał ze śmiechu i wycierał oczy wierzchem dłoni – widok starej wiedzmy chochlą przelewającej jego ducha do swojego nocnika.

Tłum wtargnął na lód niczym fala, zmiatając ze swojej drogi wszystkich urzędników i spychając ich w bok od przerębli, z której wcześniej policjanci wyciągnęli ciało ojca, pobite i zakrwawione, z prawą dłonią uniesioną, jakby chciał uczynić znak krzyża. Ludzie stłoczyli się wokół otworu wyrąbanego w lodzie. Upadli na kolana, modlili się i płakali. Prości ludzie, jakich kochał mój ojciec, którzy od początku rozumieli rzeczy, jakich nie umiała pojąć oświecona inteligencja. Przyszli po wodę, która omywała ojca, kiedy umierał, wodę, w którą przeszła jego dusza, przez którą musiała przepłynąć.

Tysiące ludzi, dziesiątki tysięcy – policja szybko straciła rachubę – przyszły nad Newę tego dnia i następnego, i kolejnego. Ludzie przychodzili i przychodzili, i nie przestawali się pojawiać, ze wszystkich stron miasta, z pobliskich miejscowości, z okolicznych prowincji. Przybywali zza Uralu, z Syberii. Nic nie mogło ich powstrzymać: zawieje, śnieżyce ani żołnierze. Szwadrony kozackiej kawalerii wymierzyły karabiny i zaczęły strzelać w tłum, a nerwowe konie stawały dęba i rzucały się przed siebie, krzesząc kopytami iskry na bruku, małe blade błyskawice w zimnym mroku.

Pośród wszystkich koni, jakie widziałam w życiu, nigdy nie spotkałam tak ognistych jak te. Górujące nad wszystkimi czarne olbrzymy, każdy z nich wielki co najmniej na dwa metry w kłębie,

ani trochę nie bały się hałasu ani zamieszania – tego im właśnie było potrzeba: szalejącego żywiołu. Ich sierść błyszczała ciemnym blaskiem, skóra drżała, a ciało poddawało się zamiarom jeźdźca – nie jego dłoniom, które były zajęte strzelaniem, lecz woli, kierującej ciałem konia jak własnym. W rozdęte nozdrza chwytaly woń prochu, ciężły powietrze ostrym rzeniem i błyskami spod kopyt. W jednej chwili ich widok i zapach, niczym naostrzona klinga, rozdarły niewidzialną sieć strachu i niedowierzania, która skrępowała mnie po zniknięciu ojca i odjęła zdolność odczuwania czegokolwiek.

Patrzyłam, zastygła w zachwycie, jak powietrze wokół tych koni zmieniało kolor, niczym żelazo nad płomieniem, wchłaniające żar. Oficer, który dłonią w rękawiczce ścisnął ciasno moje ramię, potrząsnął mną energicznie, jakby chciał mnie wyrwać z tego stanu, który zapewne wziął za przerażenie. Ale ja tylko poddawałam się im, pozwalając, by ich pragnienia mną zawładnęły, aż sama chciałam widzieć tratowane pod kopytami ciała. Wtedy właśnie zgiełk dookoła ustał, a łomoty, krzyki i ostre trzaski zlały się w słowa, słyszalne tylko dla mnie – to był głos ojca, który wypowiadał moje imię. „Masza – powiedział – nie rozpaczaj”, i chociaż nie było mi słabo, zaczęłam się osuwać na ziemię, aż towarzyszący mi oficer musiał mnie podtrzymać. W końcu coś do mnie dotarło, wtargnęło do mojego serca, sprawiło, że zabrakło mi oddechu. Do tej chwili obawiałam się, że straciłam nie tylko ojca, ale i siebie samą.

\* \* \*

Tłumy w końcu się przerzedziły, ale nim to nastąpiło, na nabrzeżu zdążono już ustawić stragan, gdzie można było kupić puste słoje i butelki, jeśli ktoś zapomniał przynieść własnych, a także chleb, ser, owoce granatu, kwas chlebowy i wódkę na szklanki.

Dniem i nocą pielgrzymi przechodzili obok i nad sztywniejącymi zwłokami, mijając uzbrojonych żołnierzy i wchodząc na zamarznąłą rzekę; szary lód miejscami był śliski od marznącej świeżej krwi. Ślizgali się, potykali i rozpychali na boki, żeby dotrzeć do przerębli, bo woda, której dotknął ojciec, zyskała jego moc. Do końca tej okropnej zimy – ostatniej zimy panowania Romanowów – Petersburgiem wstrząsały kolejne zamieszki, jedno po drugim, a krew jego mieszkańców pozostawała na lodzie pod mostem Piotrowskim.

Któregoś dnia w lutym, prawie dwa miesiące po śmierci ojca, przyszedłam na most i przyglądałam się plamie widocznej z góry. Przyjechałam do miasta przekazać nasze meble na licytację, żeby można było wynająć mieszkanie. „Mogłybyśmy porządkować jego łóżko na kawałki i sprzedawać jako relikwie”, powiedziała Waria, kiedy rano wychodziłam. Rzuciłam jej wymowne spojrzenie. Znając ją, mogła nawet mówić poważnie, ale to ja, nie Waria, byłam odpowiedzialna za rozporządzenie majątkiem ojca, a raczej tym, co z niego zostało.

W jaki sposób mordercy zdołali w końcu pozbawić ojca życia, gdy zawiódł cyjanek, zawiódły kule, kiedy ktoś rozbił jego biedną głowę pałką czy cegłą? Zrzućli go z mostu zapewne z tego samego miejsca, w którym stałam. Zepchnęli ponad balustradą i patrzyli, jak pod ciężarem ciała łamał się lód na rzece – dzięki sile grawitacji, która utrzymuje w ryzach planety, księżyc, a nawet złote Słońce, a która teraz utraciła niewinność i stała się współnikiem morderstwa. A może mieli ze sobą siekiery? Weszli na zamarznąłą rzekę, nie bojąc się niczego, ciągnąc za sobą ojca ze skrępowanymi rękami i nogami. Czy pozostał przytomny? Czy musiał patrzeć na swoich zabójców, jak rąbią lód, żeby go utopić? Przewodził im człowiek, którego brał za przyjaciela. Zaproszony do jego domu, przyjechał z własnej woli i wypił truciznę, którą mu podano.

Most Piotrowski jest przeklęty – zaczęli mówić ludzie i omijali jego wąski chodnik, kiedy tylko się dało, a już na pewno nocą, gdy

ruch w mieście zamierał i gdzieś z dołu, spomiędzy przęsł, dobiegały jęki. Zapewne istnieje jakieś naukowe wytłumaczenie tego zjawiska, dźwięków wydawanych przez wodę płynącą pod lodem, ale nikogo nie interesowały naukowe wyjaśnienia; nie tamtej zimy. Było zresztą więcej dziwnych zjawisk, których nie dało się pojąć. Próbując zmyć krew, to niewygodne przypomnienie utrzymującej się władzy ojca nad tymi, którzy w niego wierzyli, wylewano na czerwoną płamę jeden za drugim kolejne sagany wrzącej wody. Zebrano drewno, zanurzono w benzynie i podpalono na lodzie. Ale plama nie chciała zniknąć. Jak gdyby oskarżając zabójców, pociemniała i rozlała się szerzej, i nawet całkiem rozsądni ludzie zaczęli obawiać się miejsca, w którym zamęczono świętego męża.

Patrząc w dół, widziałam dokładnie, gdzie zebrała się krew, gdzie rozdeptano ją butami, gdzie przez jej kałuże przeciągano ciało – każdy rozmazany i rozdeptany ślad zachowany na powierzchni lodu. Przerębla nigdy nie zamarzała tamtej zimy. Zbyt wielu ludzi do niej przyszło, żeby napełniać butelki jak z niewyczerpanego źródła, obmywać krucyfiksy, klękać do modlitwy. Niektórzy ustawiali na lodzie krzyże i świece. Wiatr wiał bez ustanku, świszczwał i jęczał, ale nie tykał krzyży, płomieni świec ani zupy w misce. Ktoś, pamiętając o ulubionym daniu ojca, przyniósł głęboką miskę gęstej zupy rybnej, z której dniem i nocą, przez kolejne śnieżycy, unosiła się para, podczas gdy lód dookoła rozpuścił się, tworząc małą kałużę. Inni przynosili buty, tradycyjny podarek dla wędrownego uzdrowiciela. Poza tym były tam jeszcze: baryłka madery, butelki z kwasem chlebowym, niezliczone ikony, poplątany stosik różańców i jedwabne stuły, jakie noszą duchowni, złote, fioletowe, czerwone, w każdym kolorze. Modlitwy, także liczne, spisane na skrawkach papieru i – jeśli proszącemu brakowało wiary – przyciśnięte kamykami. Ale wiatr nie tykał niczego, z kamykami czy bez. Kule, laski i porozwijane bandaże, wszystkie świadczące o tym, że ojciec Grigorij nie przestał uzdrawiać tych, którzy do niego przychodzili. Żaden złodziej nie był

na tyle głupi, żeby zabierać dary złożone przez pielgrzymów, nawet tak cenne jak para solidnych butów.

Gdyby tylko ojciec pozostał dawnym pokornym człowiekiem, wędrującym od miasta do miasta, mógłby uniknąć przedwczesnej śmierci. Czterdzieści siedem lat. Ze swoją tężyzną dożyłby setki.

## CZERWONA TASIEMKA

Podróż pociągiem z Petersburga do Carskiego Sioła, dwadzieścia pięć kilometrów na południe od miasta, nie była wystarczająco długa, bym zdążyła zebrać myśli. Jechaliśmy jednak powoli, bo w środku zimy tory trzeba było odśnieżać codziennie, czasem po kilka razy. Wsiadając do wagonu, postanowiłam wykorzystać ten czas na napisanie listu do matki, w którym wyjaśniłabym wszystko, co nie zmieściło się w telegramie. Ale nawet nie otworzyłam teczki, by sięgnąć po pióro i papier. Kiedy tylko usiadłam na jednym z obitych aksamitem siedzeń w carskim pociągu, zapadłam w rodzaj dziwnej drzemki, pozostając w zawieszeniu między uspieniem a przytomnością, niczym kot, który potrafi wprost ze snu skoczyć na ofiarę. Za oknem przewijały się krajobrazy, wspaniałe i jaśniejące w ostatnich promieniach niskiego zimowego słońca, skrzących się w śniegu. Waria, młodsza ode mnie o dwa lata, spała na swoim miejscu z podwiniętymi nogami i złożonymi jak do modlitwy dłońmi pod policzkiem. Rozpuszczone włosy okrywały jej ramiona ciemnym płaszczem. Pociąg dwukrotnie zwalniał i zatrzymywał się, a kiedy usunięto przeszkodę z torów, ruszał dalej.

Było już ciemno, gdy dotarliśmy do Carskiego Sioła. Kilku oficerów kawalerii czekało na nas na stacji. Kiedy wysiadłyśmy, trzymając przy sobie bagaże, których nie chciałyśmy oddać lokajowi,

choć na to nalegał, poprowadzili nas do powozu z carskim godłem. Blisko z obu stron osłaniały nas konie i jeźdźcy, i przez chwilę miałam poczucie, że zostałyśmy wraz z siostrą raczej aresztowane niż adoptowane. Zawahałam się, wsiadając do powozu.

– Co się stało? – spytała szeptem Waria, siadając obok.

– Nic – odparłam. – Nic takiego.

Kiedy powóz ruszył, obie przyłgnęłyśmy do okna, wypatrując widoków, na które ostatni raz patrzyłyśmy latem, gdy wszędzie pełno było zieleni, a nie białego śniegu. Słońce zaszło już i wschodził księżyc. Latarnie powozu rzucały żółte światło, a za każdym oświetlonym przedmiotem ciągnął się fioletowy cień. Kiedy zbliżyliśmy się do Pałacu Aleksandrowskiego, zobaczyłam, że tylko prywatne carskie skrzydło było oświetlone – okna jarzyły się blaskiem od parteru po najwyższe piętro. Z daleka wyglądało jak latarnia ustawiona w śniegu. Potem nagle pałac wyrósł wysoko nad naszymi głowami i wysiadłyśmy prosto w świat, który odwiedzałyśmy wcześniej rzadko i nigdy bez ojca. Poza ojcem nic nie łączyło nas z carem i jego rodziną.

Przechodząc z holu do sypialni (dokąd prowadzili nas kolejno: kamerdyner, ochmistrzyni i na końcu pokojówka), trzeba było pokonać zaskakującą liczbę dwuskrzydłowych drzwi. Otwierały się przed nami bezszelestnie, posłuszne dwóm portierom ubranym w liberię i białe rękawiczki, i równie cicho zamykały za naszymi plecami. Z każdym przekroczonym progiem, każdymi drzwiami, które się za mną zamknęły, czułam się coraz bardziej senna, jakbym wchodziła w głąb zakłętej przestrzeni. Nim pokojówka zdążyła rozpakować nasze bagaże i powiesić suknie (nie udało mi się przekonać jej, jak wcześniej przekonałam lokaja, że same sobie poradzimy), leżałam na wznak na łóżku, nie zdjęwszy nawet butów, i spałam głęboko z rękami złożonymi na piersi, jak zmarła dziewczina.

Zapewne spałabym tak aż do następnego dnia, nie poruszysz nawet palcem, ale po godzinie carcyca wezwała mnie do swojego

fiołkowego buduaru, pokoju słynnego w całej Rosji z powodu oryginalnej i rygorystycznie przestrzeganej kolorystyki, do której pasowały jedynie kwiaty bzu.

– Dlaczego tylko ciebie? – zapytała Waria, stając za mną przy umywalni, kiedy przemywałam twarz wodą, żeby się dobudzić. Wzruszyłam ramionami i wyszłam z pokoju za przysłanym paziem, po drodze w pośpiechu poprawiając suknię.

Nie wiedziałam, jak odpowiedzieć Warii. Nie miałam pojęcia, co może dalej nastąpić – wydawało się, że w tym nowym świecie bez ojca wszystko może się zdarzyć i nie umiałabym jej ochronić, nawet gdyby tego ode mnie oczekiwała. Siostra i ja byłyśmy w podobnym wieku, ale na tym kończyły się podobieństwa między nami. Nie żebyśmy były sobie wrogie, z pewnością, ale lata spędzone w Petersburgu zmieniły Warię, która z dziewczyny nieśmiałej i płochliwej stała się skryta i nieszczerza. Od pierwszego dnia w mieście z trudem znosiła ciekawskie spojrzenia i nigdy nie przywykła do faktu, że jako córki „świętego męża” Rasputina dostarczamy koleżankom szkolnym materiału do plotek i drwin. Ja od razu pojęłam, że to duchowa potęga ojca prowokuje oszczerstwa – jeśli ktoś się wyróżnia, ludzie zawsze będą o nim mówić. Po co walczyć z losem? Męczeństwo i przesładowania były mu pisane od początku.

Oddalałyśmy się od siebie i obie byłyśmy temu winne. Waria nie lubiła mówić o tym, co ją gnębiło, a ja uchylałam się od obowiązku starszej siostry – cierpliwego wyciągania jej na zwierzenia, żeby mogła całe swoje nieszczęście złożyć na moich kolanach, a ja musiałabym jakoś jej pomóc albo przynajmniej ją pocieszyć. Kiedy ojciec coś sobie postanowił, nie zmieniał zdania, i chociaż sam pozostał wierny chłopskim obyczajom, to uparł się, że uszczęśliwi matkę, dając nam takie wykształcenie, jakie ona kiedyś otrzymała, w porządnej szkole dla dziewcząt. Musiałyśmy więc mieszkać z nim w Petersburgu, a Waria musiała chodzić na pensję, czy tego chciała, czy nie.

Nie wiem, jak długo Waria mnie okłamywała, zanim zorientowałam się, że jej kłamstwa są dziwnie bezużyteczne. Nie wybawiały jej z żadnych kłopotów ani nie obciążały nikogo; zdawało się, że nie są wypowiedzane w złych zamiarach. Właściwie nie miały znaczenia. Pytałam ją na przykład, czy podobał jej się koncert, na który się wcześniej wybierała, a ona mówiła, że w końcu nie poszła. Potem spotykałam jakąś znajomą, z którą, jak się okazywało, rozmawiała w antrakcie. Gdyby miała coś do ukrycia, byłoby na odwrót: powiedziała by, że była na koncercie, by zataić fakt, że była gdzieś indziej. Jeżeli jednak poszczególne jej kłamstwa nie służyły żadnym celom, to zwyczaj kłamania stanowił coś w rodzaju kamuflażu. Dopóki nie wyszły na jaw, chroniły Warię niczym nieprzenikniony mur, a ich nagromadzenie budowało wokół niej całą fortecę, w której mogła się schować; może nawet jakąś nową tożsamość, własne życie, nad którym niepodzielnie panowała, odrębne od życia mojego i ojca. Tworzyły także, być może niechcący, barierę między nami dwiema. Kiedy próbowałam Warię zdemaskować, zmieniała temat albo, niczym rasowy polityk, odpowiadała na zupełnie inne pytanie, którego wcale nie zadałam. Wymykała się z rąk jak piskorz.

Po wejściu do skąpo oświetlonego buduaru, do którego – gdy zahałałam się na progu – lekko wepchnęła mnie dama dworu, przez chwilę nie widziałam nikogo. Caryca leżała na szezlongu, a buduar rzeczywiście był taki, jak głosiła plotka: obicia z połyskliwej fiołkowej tkaniny, dywany z kwiatowym wzorem we wszystkich odcieniach fioletowego różu, podobnie jak ściany, obrusy, sznur do dzwonka, zasłony i pled, którym Aleksandra Fiodorowna okrywała nogi. Nawet jej usta były liliowe, i jej paznokcie. Słyszałam pogłoski, że w dzieciństwie caryca przeszła szkarlatynę, która uszkodziła jej serce.

– Biedna, kochana, dzielna dziewczynko – powiedziała w odpowiedzi na moje dygnięcie. – Prawdziwe oczko w głowie twego drogiego ojca. Nie możesz sobie wyobrazić, jak cię chwalił, jaki był z ciebie dumny. „Nie dajcie się zwieść jej niepozornej postaci,

mawiał, bo moja Masza jest przeznaczona do wielkich i zdumiewających rzeczy. Dobry Bóg pokazał mi tłumy, które będą się gromadzić, żeby tylko na nią spojrzeć”.

Przerwała i popatrzyła mi badawczo w oczy.

– Tak mi przykro z powodu naszej – waszej – straty. Biedne dziecko, wyglądasz na kompletnie wyczerpaną. Zadzwoń, żeby przyniesiono nam podwieczorek, dobrze?

– Ale... – zaczęłam. – Ja w ogóle nie wiem, co myśleć.

– Oczywiście. To zupełnie naturalne w twojej sytuacji. Moja kochana, czy wiedziałaś, jak ojciec o tobie mówił? Czy rozmawiał z tobą o twojej przyszłości?

– Tylko trochę – odparłam, a ona leciutko zmarszczyła brwi.

– Ach. Myślałam, że z tobą może był... – zawiesiła głos, jakby szukając odpowiedniego słowa – bardziej otwarty.

– Nie jestem... obawiam się, że nie jestem pewna, co wasza cesarska mość ma na myśli.

– Czy coś o tym mówił? O twojej przyszłości?

– Nie – powiedziałam. – Wygląda na to, że tutaj opowiadał więcej niż w domu.

– Aha – caryca przyłożyła palec do ust, jakby nakazywała mi milczenie. – Będziemy... będziesz musiała więc cierpliwie poczekać – dodała po chwili. – Poczekamy, zobaczymy.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi na jej uśmiech, coraz bardziej zdezorientowana, nie wiedząc, jak podtrzymać tę rozmowę. W rzeczywistości mogłam myśleć tylko o jednej rzeczy, którą mój umysł starał się zbadać ze wszystkich stron; niczym język sprawdzający nieznaną kształt w ustach – o nieobecności ojca, której rozmiary próbowałam zmierzyć. Nie chciałam wcale rozmyślać o jego śmierci, ale nie mogłam przestać dodawać dni i godzin poprzedzających jego zniknięcie, jakby to było równanie, które po odpowiednim przekształceniu może dać inny wynik: taki, przy którym powstrzymałabym ojca od wyjścia tamtej nocy. Śmierć ojca, moja

odpowiedzialność za nią, przyszłość moja i Warii – umysł przeskaکیwał gorączkowo do kolejnych zmartwień: nie wiadomo, czy matka jest bezpieczna, trzeba rozważyć, czy rozsądniej będzie wyjechać, czy pozostać w Rosji...

– Ty i twoja siostra zamieszkacie tutaj, w Carskim Siole. Tak życzył sobie wasz ojciec.

– Dziękuję, wasza cesarska...

– Proszę – przerwała mi caryca i pogroziła palcem jak niegrzecznemu dziecku. – Już żadnych tytułów. Ani dygnięć.

Skinęłam głową, zupełnie bezwolnie. Pozbawiona bezpiecznych konwenansów, niewiele miałam do powiedzenia. Zaczęłam przyglądać się książkom ustawionym w biblioteczce i obrazom na ścianach. Historia, głównie dzieje Cerkwi prawosławnej, teologia i pejzaże przedstawiające fiołkowe rzeki, fiołkowe lasy, pola i snopki, fiołkowe góry. Nagle zapaliła się lampa nad naszymi głowami i zobaczyłam, że caryca uniosła się z poduszek. Siedziała wyprostowana jak struna, z dłonią ciągle na włączniku, oddychając szybko, a jej oczy błyszczały gorączkowym blaskiem. Przeszło mi przez myśl, że to jakiś atak, i chciałam już zawołać kogoś na pomoc, kiedy wyciągnęła ku mnie rękę i chwyciła moją dłoń.

– Wiem, że to w sobie masz – powiedziała. Jej ręka wcale nie była rozpalona, lecz zimna jak u kogoś na łożu śmierci. Udało mi się nie wzdrygnąć i to była moja jedyna reakcja. Jej słowa brzmiały na tyle zagadkowo, iż mogłam udać, że nie rozumiem, więc nic nie odpowiedziałam. Zniknęła gdzieś dawna, znajoma Masza, śmiała i wymowna, i zdawało mi się, że na jej miejsce przyszła jakaś obca, z twarzą pozbawioną wyrazu i rysów, zamkniętą jak księga.

– Właśnie dlatego oddał ciebie, razem z siostrą, pod opiekę Mikołajowi Aleksandrowiczowi.

Oczy carycy nie tyle patrzyły na moją twarz, ile uważnie ją oglądały niczym pokrywkę zamkniętego pudełka. Czułam, jak szuka szczeliny, żeby otworzyć wieczko i zajrzeć do środka.

– Twój ojciec nie zostawiłby Aloszy bez jakiegoś planu na przyszłość. Przysłał cię do nas. Chciał, żebyś pozostawała blisko carewiczki, żeby nic złego mu się nie stało. Żebyś uzdrowiała go w chorobie i była dla niego pociechą. Przysłał cię tutaj dla Aloszy. Dla Aloszy, a także dla Rosji.

Więc jednak coś jeszcze potrafiło mnie zaskoczyć: słysząc tę deklarację, otworzyłam usta ze zdziwienia. Znałam opowieści o carewiczku, jakim był koszmarnym dzieckiem, rozpieszczonym przez rodzinę i służbę, która nie umiała odmówić mu niczego, o ile tylko nie groziło to kontuzją. Przy stole brał jedzenie z cudzych talerzy, kopiąc i krzycząc, gdy ktoś próbował go powstrzymać. Ryzyko, że podczas ataku złości zrobi sobie krzywdę, było tak duże, że w końcu gdy tylko zanosilo się na to, że wpadnie w gniew, wszyscy natychmiast spełniali jego życzenia. Podobno nawet teraz, kiedy nie robił już scen, przyzwyczajony był do uległości otoczenia.

– Skąd wasza cesarska mość wie, że nie przysłał Warrii? – zapytałam, sama dziwiąc się własnej impertynencji, ale caryca rozśmiała się. Dobrze przynajmniej, że nie starczyło mi śmiałości, by zasugerować, że może ojciec przekazał nas pod opiekę cara, licząc na zapewnienie bezpieczeństwa własnym córkom, nie carewiczowi.

– Wiesz dobrze, Matrono Grigorijewna – Maszo – że to ty jesteś najbardziej podobna do ojca. I nie mam wcale na myśli twoich niebieskich oczu ani ciemnych włosów.

Ścisnęła mi dłoń z niespodziewaną siłą.

– Wiesz, że mam rację – dodała.

– Tak – powiedziałam. Niegrzecznie byłoby zaprzeczać. Myślałam wcześniej, żeby nabrać dla siebie wody z Newy, ale zadałam sobie pytanie, czy mogłaby mi dać coś, czego już nie posiadałam. Caryca miała rację: byłam podobna do ojca, chociaż niekoniecznie w sposób, o jaki jej chodziło.

Kolor ust Aleksandry Fiodorowny był dokładnie taki sam jak kolor poduszek za jej głową. Zastanowiłam się, dlaczego nie zada

sobie trudu, żeby się umalować, a potem – dlaczego w ogóle zaprzętają mnie takie głupstwa. Aleksandra Fiodorowna. Nigdy wcześniej nie myślałam o carycy jak o zwykłej kobiecie, z imieniem jak wszystkie inne kobiety, leżącej na szezlongu, trzymającej na stoliku pogniecioną chusteczkę, zwykłą szklankę z wodą, mały zaczytany modlitewnik. Książeczka miała strony założone czerwoną tasiemką; jej wystrzępiony koniec zatrzymał moje spojrzenie i przykuł uwagę. Aleksandra Fiodorowna była taka jak inne kobiety, niczym się od nich nie różniła; była marnego zdrowia i nade wszystko bała się o swojego syna. Wyczuwałam jej niepokój, nawet dojrzałam cię, jaki rzucał na jej twarz, jakby chmura zabierała padające na nią światło.

– Co się stało, córeńko? – spytała, być może dostrzegając, że spojrzałam na nią zupełnie inaczej. – Nie masz nic przeciwko temu, żebym nazywała cię córeczką?

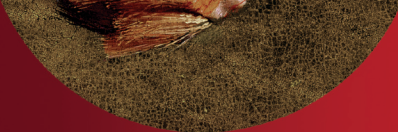
– Nie. Wasza cesarska mość może oczywiście nazywać mnie, tak jak sobie życzy.

Wszystko, co mówiłam, brzmiało inaczej, niż chciałam. Albo zbyt bezpośrednio, albo za grzecznie, aż do nieszczerości.

– Nie wolałabyś usiąść? – zapytała. – Jesteś taka blada.

Zawsze miała mojego ojca na jeden telefon. Szofer carycy wyjeżdżał po niego, zanim jeszcze podniosła słuchawkę, żeby zadzwonić z wezwaniem, i ojciec docierał do pałacu w niecałą godzinę. Ale teraz nie żył, nie mógł więcej stanąć u jej boku, wspierać jej, i słabe serce carycy zaczęło tracić siły. Wiedziałam od ojca, że miewała gorsze okresy, czasami przez miesiąc albo dłużej brak tchu nie pozwalał jej opuszczać łóżka, ale nie sądziłam, że ktoś może wyglądać tak mizernie jak ona teraz. Ciągły niepokój z powodu toczącej się wojny z Niemcami, braki w zaopatrzeniu, strajki i zamieszki, długie godziny spędzane w zaimprovizowanym szpitalu Czerwonego Krzyża na pielęgnowaniu konających żołnierzy (zawsze pragnęła spełniać dobre uczynki, szukała okazji, by poświęcać się w imię





## Sankt Petersburg, rok 1917.

O świcie Nowego Roku z lodowatych fal Newy nurek wyciąga ciało zamordowanego Grigorija Rasputina, szalonego mnicha i cudotwórcy. Kilka godzin później jego córka, zaledwie osiemnastoletnia Masza, trafia do pałacu w Carskim Siole, gdzie ma przejąć po ojcu rolę uzdrowicielki carewicza Aloszy. Gdy carska rodzina zostaje aresztowana, Masza i Alosza znajdują pocieszenie w sobie nawzajem. Dwoje młodych, z bardzo odmiennymi pojęciami o Rosji, o Rasputinie i o niefortunnym panowaniu rodziców chłopca, tworzy sobie sekretny świat magii i zakochania. Oboje szukają schronienia w historiach o dzikim i pięknym kraju, w którym już nigdy nie przyjdzie panować carewiczowi.

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



cena 37,90 zł

PATRONAT MEDALNY



lubimyczytać.pl

BOOKLIPS.PL IIIII